

EWA CIELESZ SZUM



EWA CIELESZ

SZUM



Copyright © 2026 by Ewa Cieleisz
Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Dominika Surma

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

WYDANIE I

ISBN: 978-83-8412-668-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Zegar utknął na godzinie siódmej trzy. Obudził mnie brak monotonnego cykania. Najpierw zaszepotała podświadomość, a dwadzieścia dwie minuty później gęstniejące przeczucie rozdarł dźwięk telefonu.

– Dzień dobry. Doktor Jarzębski ze szpitala klinicznego. Pani Laura Berny?

– Tak.

– Pani Lauro, ogromnie mi przykro...

– Twierdził pan, że jest poprawa – zauważyłam beznamiętnie.

– Była, lecz w nocy niespodziewanie nastąpił zator, a kilka minut po siódmej zgon.

– Kilka minut po siódmej? Może trzy? Niech pan powie, trzy? – ożywiłam się.

– Chwileczkę, sprawdzę... Tak, dokładnie trzy.

– Kawalarz. – Uśmiechnęłam się kąśliwie.

– Słucham?

– Nie, nic...

Doktor chrząknął i przez chwilę trwała cisza.

– Wszystko w porządku, pani Berny? Dobrze się pani czuje? – odezwał się w końcu.

– Czy dobrze? Zgodnie z otrzymaną informacją, doktorze.

– Cóż... Szczerze współczuję.

– Dziękuję.

– Wiem, że nie ma pani teraz głowy do takich rzeczy, ale trzeba dopełnić formalności.

– Do szpitala przyjadę z siostrą... Z siostrą mojego męża. Zaraz do niej zadzwonię.

– W porządku. Jeszcze raz wyrazy współczucia.

Rozłączył się.

Czarny ptak oderwał się od sufitu, rozpostarł skrzydła i ciężko opadł na moją twarz.

Nie wiem, jak długo leżałam pod ciężarem żalu. Kiedy znów otworzyłam oczy, zegar wskazywał siódmą trzy.

Mięsisty szlafrok, który kupiłam Leonowi w San Marino na czterdzieste piąte urodziny, ciążył teraz na moich ramionach. W kuchni wiało chłodem. Przez nieuwagę zostawiłam na całą noc otwarte okno. Siedziałam teraz zdrętwiała z puszką kawy i z suchymi oczami, usiłując pozbyć się wyrzutów sumienia, że w obliczu straty nie potrafię zrezygnować z ulubionego porannego rytuału.

Włączyłam ekspres. Filiżanki z cieniutkiej porcelany kupione w Petersburgu podzwaniały metalicznie i przepuszczały światło, jak na oryginalną porcelanę przystało. Leon przywiązywał wagę do takich szczegółów. Przygotowałam dwie i skarciłam się w duchu. Dwudziestoletni zwyczaj ustawiania na stole wszystkiego dla dwojga wszedł mi w krew. Robiłam to nawet, gdy Leon był na innym kontynencie, cóż dopiero w zaświatach. Z sardonicznym uśmiechem odstawiłam jedną na półkę.

Trzęsła mi się ręka, a łyżeczka wygrywała o spodek żałobne requiem, gdy wracałam do sypialni z parującą kawą. Pachniała obiecująco i tylko o niej starałam się myśleć. Nieustannie ćwiczyłam samoakceptację, zgodę

na doświadczanie przyjemności bez wyrzutów, że ktoś inny ich nie doznaje. Cóż dopiero nieboszczyk...

Popijając małymi łykami kawę, odwracałam wzrok od łóżka, gdzie ukryta w drugiej poduszce i złożonej w kostkę męskiej piżamie tliła się iskierka nadziei. Właśnie zgasła. Zostały pomniki: nocny stolik ze stosem wyświechtanych książek, zapalka zamiast zakładki stercząca z biografii Francisa Bacona, a nad łóżkiem ściana zagryzmołona cytatem z Makbeta:

Dobroczynne moce!

Uciszcie we mnie te okropne myśli,

Które się budzą, gdy ciało spoczywa!

Naprzeciw milczał martwy zegar.

A za oknem przesuwał się dzień.

Magiczna tabletką sprawiła, że podjęłam trud rozmowy telefonicznej ze szwagierką. Staralam się przeprowadzić ją bez zakłóceń i metodycznie omówić wszystkie ponure sprawy.

Miśka miała zawily charakter i kreowała się na niezależną singielkę, choć bez żelaznej konsekwencji w tym względzie. Do szpitala zdecydowała się udać sama i w pojedynkę przejść przez smutne procedury.

– Oszczędzę ci tego – stwierdziła.

Przemilczałam. Nigdy nie próbowałam ingerować w jej decyzje.

Wpadła zaróżowiona, przez zapach perfum przebijała się woń wodorostów. Widocznie szła deptakiem przy plaży. Elegancki płaszczyk zostawiła w przedpokoju, pewnym krokiem weszła do salonu, usiadła na sofie i wbiła we mnie wzrok. O nic nie pytała, nie opowiadała, jak wyglądały szpitalne procedury, po prostu dziwnie się gapiała.

Gapiła się aż do zakłopotania. Do kulki w gardle. Do determinacji, żeby ten wzrok zagłuszyć.

– No i umarł – przedarłam się przez milczenie. – Powiem ci, że nie jestem zaskoczona. Kiedyś napomknął, że wasz dziadek miał to samo...

– Co miał? – prychnęła.

– No, to... – bąknęłam zbита z tropu. – Nie rozmawiałaś z lekarzami? Od dawna spoglądali na Leona jednoznacznie. A kiedy zaczął z dnia na dzień zrzucać wagę aż do rozmiaru ślubnego garnituru, zasugerowali, że jest gotów... – zagadywałam ciszę.

W sumie to uprzejme z jego strony – pomyślałam w duchu. Na ostatnią drogę potrzebuje jedynie nowych butów. Będzie zachwycony, gdy włożę mu indiańskie mokasyny.

Wyraz twarzy Miśki nie zmienił się podczas słuchania moich wywodów. Nadal się gapiła. Nadal dziwnie. I milczała.

– Kiedy przyleciałaś z Toronto? – zapytałam, byle mówić cokolwiek.

– Natychmiast, jak do mnie zadzwoniłaś.

Może zadzwoniłam za późno, powinnam zrobić to znacznie wcześniej, żeby zdążyła z nim pobyć, a może nawet się pogodzić.

Już wtedy, gdy rozpoczął ostateczne pakowanie walizek na tamten świat. Kiedy błagał personel, żeby nikt nie wpuszczał mnie za próg szpitalnej sali, bo obawiał się, że zobaczę go zaniedbanego i niedołączonego, że będę świadkiem utraty męskości i godności.

Żałuję, że spełniłam jego ostatnią wolę i nie odwiedziłam go w tym czasie ani razu.

Torbę z jego zapachem, cierpieniem, niedoczytaną książką i nadgryzionym herbatnikiem, który pielęgniarka pieczołowicie owinęła w serwetkę, Miśka zaniósła do sypialni i z lekkim obrzydzeniem upchnęła

za łóżkiem. Uporządkowanie ostatniego etapu Leonowego życia będzie wymagało ode mnie czegoś więcej niż odwagi i czasu.

– Wzięłam z szafki Leona kilka drobiazgów na pamiątkę – zastrzegła.

– Jasne – mruknęłam bez wnikania, co sobie przywłaszczyła. Miałam całą sypialnię pamiątek po Leonie.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytała zdawkowo.

Zaprzeczyłam. Działała na mnie destrukcyjnie. Chciałam, żeby sobie poszła.

– Jakby co, to dzwoń. – Poklepała się po kieszeni, z której sterczał smartfon.

W powietrzu zostawiła mgiełkę wyrefinowanych perfum, na podłodze ślady obcasów. Przesłała konwencjonalny uśmiech i już jej nie było.

Z kąta za łóżkiem wyzierała szpitalna torba Leona.

Zachrobotało do drzwi. Odruchowo spojrzałam na zegar. Nadal siódma trzy.

Edzia Wiertak, którą poznawało się właśnie po tym chrobotaniu, mieszka nade mną, na trzecim piętrze. Nigdy nie puka, nie używa dzwonka, tylko drapie jak szczur, paznokciem. Robi to zawsze o osiemnastej dwadzieścia. O tej porze jej synowa wraca z salonu fryzjerskiego, gdzie pracuje, i przejmuje opiekę nad dwuletnim synkiem, Kacprem.

– A ty co tak otwierasz, nie pytasz kto? – napadła na mnie. – Jakiś bandyta też może drapać tak jak ja. Domofon na dole znów zepsuty, każdy może wleźć, a twój stary w szpitalu. Kto cię będzie bronić? Ja tak szybko nie zbiegnę z piętra, bo mi nogi sztywnieją w kostkach i w kolanie strzyka.

– Widziałam cię przez wizjer – wyjaśniłam.

– Widziałas, bo zapaliłam światło na klatce schodowej. Od tygodnia przepalona żarówka! Nikogo nie obchodzi, że lokatorzy po ciemku zabijają się na schodach. Za własne pieniądze kupiłam żarówkę i musiałam syna

prosić, żeby zmienił, bo ja na stołeczku boję się stawać. Nie te lata. No proszę cię, jeszcze bym się wykopyrtnęła... Ale dobrze już... – Machnęła ręką. Skończyła tyradę w przedpokoju i skierowała kroki do kuchni. – Mów, jak się czuje Leon – zażądała, siadając przy kuchennym stole.

– Mam nadzieję, że już dobrze – odparłam posepnie, nalewając wodę do czajnika.

– A widzisz! – rzuciła z satysfakcją, obserwując jednocześnie moje zabiegi przy parzeniu herbaty. – Powiem ci w tajemnicy... – Przechyliła się przez stół i zniżyła głos. – Boćkowa mówiła, że on raczej z tego nie wyjdzie. Mądrała się znalazła, no proszę cię. Trzeba każdemu dać szansę. Ja zawsze powtarzam: wiara w wyzdrowienie i silna wola to najlepsze lekarstwo... Cytrynę masz? – zapytała znienacka.

– Mam.

– Pytam, bo przedwczoraj nie miałaś, a ja herbaty bez cytryny nie wypiję, wodę czuć chlorem. To z naszego sklepiku?

– Z naszego.

– Dobrze, bo w markecie ostatnio były nieładne, z rdzawymi plamami. Jak można taki towar na sklep rzucać? No proszę cię... Dzwoniłaś tam dzisiaj?

– Gdzie? Do sklepu? – Spojrzałam na Edzię, próbując za nią nadążyć. Sąsiadka miała zwyczaj skakania z tematu na temat.

– Po co do sklepu? – Wytrzeszczyła oczy. – Do szpitala.

– A, do szpitala... Przepraszam, jestem trochę roztargniona – tłumaczyłam mętnie. – Nie dzwoniłam.

– To co? Nie rozmawiałaś z lekarzem? A z mężem? Kiedy wychodzi?

– Czeka, Edzia. – Powstrzymałam jej paplaninę i dodałam, zebrawszy słowa: – Leon umarł dziś rano.

Teraz Wiertakowa gapiła się na mnie. Brązowe tęczy jej oczu niemal zlewały się ze źrenicami. Prawą brew wyskubała mocniej niż lewą, więc teraz sprawiała ona wrażenie uniesionej w górę, nadając twarzy wyraz niedowierzania.

– Zaraz... – Potrząsnęła nerwowo świeżą trwałą, wprawiając w ruch farbowane kasztanowe loki. – Twój Leon umarł?

– Tak. O siódmej trzy.

– O siódmej trzy – powtórzyła. – Tak wcześnie, no proszę cię... – Skrzywiła się z niesmakiem.

Nagle odsunęła z hałasem krzesło, rzuciła się do przodu i wylewnym gestem chwyciła mnie w objęcia. Pachniała smażoną cebulą.

– Bardzo ci współczuję... Nie masz pojęcia, jak mi przykro – powtarzała, klepiąc mnie po plecach. Dudniło jak w tunelu.

Zastanawiałam się, co miała na myśli, mówiąc: „tak wcześnie”? Wiek Leona? W końcu miał zaledwie czterdzieści dziewięć lat... Czy może fakt, że o siódmej trzy mógł sobie jeszcze pospać?

– Pójdę już. Wiesz... Muszę wyjść... – oświadczyła znenacka.

– Jasne, idź – zgodziłam się obojętnie.

Trzasnęły drzwi. Został imbryk pełen herbaty, cytryna pokrojona w plastry i cisza.

A jednak nie. Nad głową raz po raz rozlegał się łoskot drewnianych klocków, z których Kacper zapewne próbował ustawić mur albo wieżę. Rozpraszał mnie ten dźwięk, więc twarz Leona, którą usiłowałam zmaterializować pod powiekami, rozpływała się w pomroce, ginęła w realnym obrazie blokowej kuchni z wąskim oknem, za którym czaił się mrok.

To pierwszy wieczór nieczekania na ciebie – pomyślałam. Choć jak zwykle zastanawiam się, gdzie, do diabła, teraz jesteś...

Być może łyzy przyniosłyby ulgę, lecz nie chciały płynąć.

Łzy są ceną za przeżyte szczęście – przypomniałam sobie zasłyszane gdzieś słowa. Nie wiem, czy mam za co płacić.

W pojęciu Edzi dwa krótkie dzwonki są zbyt popularne. Inaczej się miało pukanie Leona, które doceniała za pierwsze takty *Toccaty i Fugi* Bacha, wystukiwane kościaną zapalniczką. Jej zdaniem dawało oryginalny dźwięk, a mnie chroniło przed wpuszczeniem do domu złodzieja. Jej opinią zupełnie się nie przejmowała Adela Boćko mieszkająca na parterze, po prawej stronie od głównego wejścia. Zadzwoiła banalnie i krótko dwa razy, a ja rozpoznałam, że to właśnie ona stoi pod drzwiami.

– Otwarte – oznajmiłam, nie ruszając się z miejsca.

– Och, ja już wiem! – zawołała od progu. – Już wiem, kochana! Przyjmij moje szczere kondolencje, ale pamiętaj, nie zamartwiaj się. Najważniejsze, żebyś nie załamała się psychicznie.

Podeszła bliżej, nachyliła się nade mną i dyszała. Gnała na to drugie piętro zaraz po wizycie Edzi, która przemierzała klatkę schodową od drzwi do drzwi, niosąc hiobową wiadomość.

– Poradzisz sobie? – wysapała Adela, zaglądając mi w twarz. – Słuchaj, przy Biskupa Dominika jest ośrodek interwencji kryzysowej, sprawdziłam. Zawiozę cię tam, jeśli potrzebujesz wsparcia. Potrzebujesz?

– Daj spokój, Adela. Siadaj – zgasłam jej zapal. – Potrzebuję spokoju, niczego więcej... Nalać ci herbaty? – zapytałam dla porządku, bo Adeli nie zdarzało się odmawiać.

– Poproszę.

Spod postrzępionej jasnej grzywki spozierały na mnie badawczo niebieskie oczy. Adela imponowała energią i umiejętnością podejmowania trafnych decyzji, lecz nie znosiłam, gdy próbowała robić to za mnie. Tymczasem ona upierała się coraz bardziej:

– Nie powinnaś się wzbraniać. Oni pomogą ci przejść przez traumę.

– Nie mam traumy. Nie chcę.

– A ja nie chcę, żebyś z żałobą została sama. Nie masz nikogo prócz nas. Zaraz... A ta twoja szwagierka przyleci z Toronto?

– Och, ona jest już na miejscu.

– Co ty powiesz? – Lekkie zdziwienie zawisło na twarzy Adeli. – Wróciła... No, popatrz... Po czymś takim... Rozpacza? W końcu to jej brat.

– Nie rozpacza – ucięłam, po czym sięgnęłam do lodówki po cytrynę i do szuflady po nóż.

Adela gapiała się na mnie, intensywnie myśląc, wreszcie zapytała:

– A z tobą na pewno wszystko w porządku?

– Czy może być wszystko w porządku, jeśli umiera mąż? – zniecierpliwiałam się.

Znów sporo czasu upłynęło, zanim błysnęła refleksją:

– Pokroiłaś już jedną cytrynę.

– No tak. Masz rację. Trudno mi się dziś skupić.

– To naturalne – pocieszyła mnie. – Śmierć męża to zawsze śmierć, robi wrażenie, jaki by ten chłop nie był...

Zastygłam z nożem w ręku.

– O kim mówisz? Masz coś do Jerzego? Uchodźcie za udane małżeństwo.

– A czy ja mówię, że nieudane? Sama wiesz, jak to jest. Człowiek się stara zgodnie żyć, ale czasem chlapnie coś w złości pod wpływem chwili, a potem boryka się do końca życia z wyrzutami sumienia. Ty niczego nie żałujesz? Na przykład, że osądziłaś Leona niesprawiedliwie albo pożałowałaś mu czegoś?

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparłam znużonym głosem. – To pewnie przyjdzie z czasem.

– Z pewnością – podchwyciła Adela. – Na razie jak obuchem w łeb, prawda? Był człowiek i nagle cyk! I nie ma. A życie jak rzeka, płynie w jednym kierunku bez odwrotu – sypnęła frazesem. – Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie odejścia Jerzego. Po prostu nie umiałabym bez niego żyć. Ty potrafisz?

– Skąd mam wiedzieć? – Wzruszyłam ramionami i z nutką ironii dodałam: – Nie wiązałam się z twoim Jerzym.

– Och, przestań, wiesz, że nie o tym mówię. Czy potrafisz żyć bez Leona?

– Nie zdążyłam się jeszcze przekonać.

– Słuchaj, dostarczę ci z mojej kwiaciarni kwiaty, chcesz? – Ożywiła się. – Za wieniec połowę policzę. Jaki chcesz? Z kalia czy z białą różą? A może z czerwoną... Tak, od żony koniecznie czerwone róże... A na szarfie co chcesz? „Na zawsze Twoja”? Czy: „Spoczywaj w pokoju”? A może: „Ostatnie pożegnanie”? Musi być krótko, żeby napis był czytelny... Nie patrz tak na mnie, zdaję sobie sprawę, że omawianie pogrzebowej florystyki jest trudne. Przecież nie uraziłam cię, prawda?

– Prawda.

– To co chcesz na szarfie?

– Pomyślę.

– No jasne. Chyba nie musisz się spieszyć. Kiedy pogrzeb?

– We wtorek.

– To jeszcze czas. Przygotuję ci najpiękniejszy wieniec.

Mieszkająca naprzeciw Wanda Wolisza nie pukała i nie używała dzwonnka. Szarpała klamką lub, jeśli drzwi nie były zamknięte na klucz, po prostu wchodziła.

– Jesteś?! – wołała od progu.

– Jestem – odpowiadałam i robiłam swoje, bo Wandę traktowałam jak domownika.

Tym razem nie pytała, czy jestem. Zatarasowała sobą kuchenne drzwi i zaczęła chlipać. Jej piersi jak morskie bałwany falowały z każdym oddechem. Szeroka twarz i maleńki blond koczek zaplątany na czubku głowy nasuwał skojarzenie z dorodną cebulą.

– Kto by pomyślał... Leon. Psia kostka... Chłop jak dąb... – wyjąkała w końcu i otarła łzy.

– Ostatnio wyglądał dość rachitycznie – zauważyłam trzeźwo. Wciąż nie mogłam płakać.

– Trudno to sobie wyobrazić... Ech, zawsze powtarzam, że nadmorski klimat nie dla każdego. Może jemu właśnie nie służył. Może powinien mieszkać w Zakopanem, a nie w Gdyni. Ach, nie chcę nawet myśleć o tym, co się stało. – Machnęła ręką i siąknęła nosem. – Biedaczysko... Wiecie co? Przyniosę sernik, świeżutki, rano piekłam. – Rozpogodziła się nagle. – A ty nie płacz – zwróciła się do mnie stanowczo, chociaż to ona płakała, a mnie nawet jedna łza nie spłynęła z oka. – Masz nas, nie jesteś sama. Będziemy tu zaglądać, wszystko będzie dobrze, nie martw się – zapewniła.

Wycofała się i, na ile pozwoliła jej tusza, pobiegła do swojego mieszkania. W drzwiach zderzyła się z Małgorzatą z drugiego piętra, więc ta nie zdążyła zapukać trzy razy, jak to zwykle czyniła.

Strzelista jak topola, milcząca i ascetyczna, o szarej cerze, której ziemistość podkreślał czarny, obcisły golf, rozpostarła przede mną ramiona. Przypominała szafot, mimo to kiedy się zbliżyła, złożyłam głowę na twardym ramieniu i przyjąłam wyrazy współczucia.

– Masz coś czarnego czy ci uszyć? – zapytała grobowym głosem.

– Leon nie lubił mnie w czerni – zastrzegłam.

– Daj dziewczynie zarobić – mruknęła Adela. – Krawcowe na wymarcu.

– Dobrze. Nie mam czarnego – zgodziłam się.

Długi, przeciągły dzwonek zapowiedział wizytę Jadwigi Tupet mieszkającej na parterze po lewej stronie. Emerytowana nauczycielka z zasadami nigdy nie przestąpiła progę, jeśli nie otworzyłam jej drzwi osobiście. Nieco egzaltowana, nie zaskoczyła mnie białą, niezbyt świeżą lilią, którą wyjęła zapewne ze swojego wazonu, a teraz podała mi z wystudiowanym smutnym półuśmiechem.

– Odszedł na przeciwną stronę, a błękitny anioł wiedzie go jasnym korytarzem wprost do Pana. Nie płacz, Lauro, nie będzie już cierpieć. Dobry Bóg go uzdrowi i utuli w swoich ramionach – rzekła, a słowa przypieczętowała pocałunkiem na moim policzku. Powiało chłodem.

– Przepraszam – odezwała się z za jej pleców Wanda, która usiłowała wepchnąć się ze swoim sernikiem. – Dajcie jakieś talerzyki. I dla Edzi, bo już leci. Przed chwilą słyszałam ją na schodach.

Kuchnia nie z gumy, ale moje sąsiadki nie kwapiły się z przeniesieniem do pokoju, który ku szyderczej uciechu Leona nazywałam szumnie salonem.

– Tutaj przytulniej – twierdziły, rzucając niechętne spojrzenia w tamtą stronę.

Każda przycupnęła, gdzie się dało: na parapecie, na taboretach, na niskim stołeczku, albo po prostu opierały się pośladkami o kuchenne szafki. Jadłyśmy sernik i piłyśmy wino. Każda pocieszała mnie na swój sposób. Ich głosy brzęczały, rozpraszały w zarodku rozpacz, nie pozwalały się oswoić ze stratą. Wypadało odczuwać co najmniej żal, lecz śmierć Leona wciąż do mnie nie docierała, być może nie przyjmowałam jej do świadomości. Tkwiłam zagubiona między wczoraj a jutro, wciśnięta w gromadę trajkoczących kobiet, i pragnęłam zostać sama.

– No, to co chcesz na szarfie? – zapytała na odchodnym Adela.

– Nie podoba mi się żaden z tych utartych sloganów – odparłam. – Napisz... „Szczęśliwej podróży”. Zawsze go tak żegnałam.

– Jasne – skwitowała, a Wanda, która miała słabą głowę i trochę w czubie, rozczuliła się łzawo:

– Psia kostka, jak romantycznie!

– Dam ci ten wieniec za darmo – oświadczyła wielkodusznie Adela i powiodła wyzywającym wzrokiem po sąsiadkach.

– Ułożę mowę pożegnalną – podchwyciła Jadwiga i przymknęła oczy, jakby już szukała natchnienia.

– Ja upiekę tort na stypę – zaofiarowała się Wanda.

– Jutro przyjdę zdjąć miarę na sukienkę – zapowiedziała Małgorzata, ściskając kościście moje dłonie. – A ty spróbuj zasnąć. Weź na noc tabletkę.

– Zamknij za nami drzwi na klucz, pamiętaj! – ostrzegła Edzia. – I nie otwieraj byle komu! – zawołała już ze schodów.

– Śpij spokojnie – westchnęła Jadwiga. – Pomodłę się za jego duszę...

Dobrą chwilę huczało echo wrzawy, którą wyniosły z mieszkania i rozproszyły po klatce schodowej, nim zatrzasnęły za drzwiami własnych mieszkań. Tam będą opowiadały mężom, jakie nieszczęście spotkało Laureę spod szóstki. I ten Leon, biedaczysko, taki był porządny chłopina, chociaż dziwak...

Nie, jednak wcale nie pragnęłam ciszy, jaką zostawiły. Nie pragnęłam samotności ani milczenia, które nagle oblepiło wszystkie kąty. Otchłań mojej duszy i pustego mieszkania wypełniła żaloba.

Pozbierałam brudne naczynia i włożyłam do zmywarki. Potem zgarnęłam ze stołu okruchy, uruchomiłam odkurzacz. Robiłam to wszystko, by zająć myśli, nie dopuszczać do wyobraźni szpitalnej chłodni, gdzie na

półce wśród innych podobnych spoczywa ciało Leona w czarnym, plastikowym worze. Nie chciałabym tam zaglądać.

Ciepły prysznic nie przyniósł ulgi, a sypialnia zamiast ukoić, wyzwoliła lęk. Spędziłam tu niejedną noc w ramionach mojego męża. Coś musiało w powietrzu zostać z tej energii, uczuć, śmiechu, szeptów, kłótni i pojednań. Niepokoiła upchnięta za łóżkiem torba z jego rzeczami, rozwieszona na ścianach fotografie, a na nich oczy w jego twarzy spoglądające z ciekawością, z zachwytem, z ironią lub z rozbawieniem. Przez szparę niedomkniętych drzwi szafy wystawał rękaw jego koszuli odcinający się bielą od mahoniowego mebla. Zwisał smętnie, aż się prosił, by wypełnić go ramieniem.

Z gabloty biblioteczki straszły pochówkowe mokasyny otrzymane od indiańskiej matki jednego z przyjaciół Leona. Przywiózł je z Ameryki Północnej i umieścił właśnie tam. Moim zdaniem z przesadną atencją.

– Relikwie – wyjaśnił.

– Fetysz – sprostowałam. – Zioną trupem.

– Wymyślasz – zachnął się. – Są pięknie haftowane.

Owszem. Nawet podeszwy były haftowane.

Największą część pokoju zajmowało łóżko. Stało pośród obłożonych drewnem ścian, w otoczeniu podróżniczych pamiątek i bibelotów, zbioru różnorodnych książek, kurzu i walających się wszędzie winylowych płyt z klasyką.

I oto dziś nasza sypialnia przeistoczyła się w mauzoleum ku czci Leona, który sam tę scenerię obmyślił. W oprawie mdłego, żółtawego oświetlenia, w milczeniu martwego zegara, otoczona sztafażem postaci z fotografii poczułam się nieswojo. Po namyśle zabrałam pościel i wyniosłam się do salonu. Umościłam się na sofie i próbowałam zasnąć. Lecz oczy otwierały się same. Wodziły po podświetlonych uliczną latarnią sprzętach, przesuwały się po obrazach. A w nich zło, udręka i rozpacz.

Leon kochał twórczość Bacona, który ekspresją pędzla rznął twarze na kawałki i ćwiartował sylwetki. Nad moją głową lała się gęsta czerń z portretu pośmiertnej maski Williama Blake'a, gdzie straszliwa, ściągnięta z głowy skóra udawała twarz i nie pozwalała odwrócić wzroku. Wzniecały grozę. Naprzeciw *Krzycząca piastunka*, a obok skulone w srebrzystej ramie *Dwie postaci w trawie*.

Autor tych dzieł skończył zawałem serca. Leon śmiał się, gdy mu o tym przypominałam, a po kilku dniach przytaszczył reprodukcję bezmiernie bolesnego *Ukrzyżowania*. Wszystkie te zdeformowane postaci wyłaziły z ram, skradały się do mojej poduszki, dyszały, że najgorsze już za nimi.

Moje serce groźnie przyspieszyło. Koszmary rozgościły się w głowie, rozsiadły na piersiach i przygniotły paniką. Po omacku poszłam do kuchni i sięgnęłam do apteczki. Opakowanie tabletek znałam na pamięć. Połknęłam dwie i wróciłam do łóżka.

Porywisty wiatr przyniósł nad ranem zmianę pogody. Wrześniowy piątek wstał pochmurny i zimny. Monotonia siąpiącego deszczu z jednej strony kołowała, z drugiej potęgowała ból głowy i otępiała.

Trzykrotne pukanie obwieściło wizytę Małgorzaty. Zgodnie z zapowiedzią przyszła zdjąć miarę na sukienkę.

– Nie spałaś? – zapytała obojętnie, bez nuty troski. Może dlatego, że sama nie wyglądała najlepiej. – Masz podkrążone oczy.

– Zasnęłam tuż przed świtem – odparłam.

– Mogłaś wziąć tabletki – napomniała zmęczonym głosem.

Skrzywiłam się.

– Wzięłam. Nie pomogło.

– Czasem nic nie pomaga... Chcesz do kolana czy do połowy łydki? – zapytała, stojąc wciąż w przedpokoju.

– Nie wiem... Może powłóczyłam, do pięt.

Przyjrzała mi się krytycznie.

– Żartujesz, prawda?

– Nie.

– Będzie się za tobą ciągnąć i moczyć w błocie.

– Nie szkodzi.

– No dobrze – westchnęła. – Dobiorę ci do tego kapelusz. Taki z woalką. Będzie ładnie, choć ekscentrycznie.

– W porządku, on tak lubi.

– Lubił – poprawiła.

Lubił, ale go nie ma, więc nie musisz już być taka, jaką sobie uformował – spodziewałam się takich słów, więc sarknęłam na zapas:

– Co ty tam wiesz.

Obrzuciła mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Może nic nie wiem, a może coś tam wiem – rzekła zagadkowo.

– Co wiesz? – rzuciłam wyzywająco.

– Przestań już, przestań – fuknęła, jakby upominała dziecko, że wygłupy się skończyły. – Masz buty na obcasie? – Wróciła do poprzedniego, zmęczonego tonu.

– Rozmyśliłam się – zdecydowałam nagle. – Nie będę nosić żałoby.

– A na pogrzebie?

– Też nie.

– I masz rację. – Zwinęła metr krawiecki i schowała go do kieszeni. – Nie każdy zasługuje na żałobę.

– Nie zrozumiałaś – sprostowałam. – Nie widziałam go martwego. I niech tak zostanie. Nie będę pieczętować jego nieobecności żałobną kiecką.

– Jak chcesz... – rzuciła i zajrzała do salonu. – Zmienisz tu coś?

– Co niby miałabym zmienić?

– Czy ja wiem? Wszystko. – Wzruszyła ramionami.

– Nie.

– Jak chcesz – powtórzyła.

Może się obraziła, bo wyszła bez pożegnania. Zamknęłam za nią drzwi z postanowieniem, że nikomu więcej dziś nie otworzę. Nie miałam nastroju na rozmowy.

Wróciłam do salonu i powiodłam spojrzeniem po ścianach. Światło dzienne pozwalało dostrzec szczegóły utrwalone pędzlem malarza, którego twarz ograbiły z emocji jego dzieła. Krzyczały jego krzykiem, krzywiły się jego bólem i oddychały złem świata, w jakim żył. Światło dzienne dawało możliwość ucieczki, zatrzymania wzroku na ramie lub choćby na ścianie oszpeconej krwawym śladem po ubitym przez Leona komarze. Ale moje oczy powędrowały dalej, za regały pełne książek, gdzie wisiała maska Baule.

Sięgnęłam pamięcią do tego okropnego dnia, gdy mój mąż po trzymiesięcznej nieobecności wracał z Wybrzeża Kości Słoniowej. Nie mogłam się go doczekać, więc wyjechałam na lotnisko. Tymczasem samolot opóźnił się ponad dwie godziny.

– Szlag! – wrzasnął Leon już z daleka, gdy tylko ujrzał mnie wśród oczekujących. – Szlag! Po co przyjechałaś?

Prawie wszyscy obejrzeni się na mnie. Jedni ze współczuciem, inni gapili się jak na sekutnicę. A on już przepychał się przez tłum, torując sobie drogę walizą.

– Po co przyjechałaś? – zmienił ton, gdy znalazł się tuż obok. Objął mnie ramieniem i pocałował w usta. – Nie powinnaś się denerwować! To niezdrowe. Jesteś blada jak ściana.

– Chciałam jak najszybciej cię zobaczyć. Nie wiedziałam, że samolot się spóźni. Nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Co się stało?

– W zasadzie nic. – Machnął ręką. – Pasażer nie dotarł na czas. Bywa, że ktoś zgubi się w terminalu, więc czekaliśmy. Gość nie przyszedł, a w samolocie był jego rejestrowany bagaż. Trzeba było wyładować wszystkie walizy, każdy identyfikował swoją, a potem to wszystko ładowali z powrotem. Zeszło. Sama widzisz... Na pocieszenie mam coś dla ciebie. – Ożywił się. – Dam ci w domu.

Dał.

Zawinął to we własną flanelową koszulę, żeby się nie zniszczyło w drodze.

Nie byłam w stanie wykrzesać ani odrobiny zachwytu, gdy Leon rozplątał się nad ręcznie wykonaną, mocno zużytą afrykańską maską, zdobioną wytartymi koralikami, muszlami kauri i brudnymi, postrzępionymi sznurkami.

– Co tak patrzysz? – zapytał niemal z gniewem. – Nie podoba ci się?

Bąłam się powiedzieć prawdę.

– Nie masz pojęcia, jaka jest ważna. Służy do ceremonialnego tańca. Łączy żywych ze światem zmarłego przodka.

– Czyjego przodka, Leon? – jęknęłam zniesmaczona.

– Nie wiem. Te maski przekazywane są jako pamiątki rodzinne. Ja kupiłem ją na straganie. Jedna z piękniejszych, nie uważasz? Widziałem też

taki rytualny taniec, spójrz.

Przyłożył maskę do twarzy i stawiając w dziwny sposób kroki, zaczął wydawać niezrozumiałe, dzikie odgłosy. Nie wiem, jak wyglądał oryginalnie. W wykonaniu mojego męża taniec był upiorny.

– Schowaj to – poprosiłam. – Tę okropną maskę. Schowaj.

– Schować? To przecież dla ciebie.

– Nie chcę.

Przykucnął przy moim fotelu.

– Musisz chcieć, jeśli mamy spotkać się po śmierci – powiedział, świdrując mnie wzrokiem.

– Po jakiej znowu śmierci? – Przeraziłam się. – Co ty mówisz?

– Przecież wiesz, że wszyscy tak kończą. Wiesz o tym, prawda? – rzekł łagodnie, jak do mało rozumnej dziewczynki. – Ja chcę, żebyś pamiętała o mnie, gdy odejdę.

– Leon, przestań. Nie chcę tego słuchać – rzuciłam ze złością, przykładając dłonie do uszu.

A potem po prostu wstałam i wyszłam. Chwyciłam tylko kurtkę z wieszaka i w jednej chwili znalazłam się na schodach. Potrzebowałam spokoju, samotności, przestrzeni i wiatru. Dawno zapadł zmrok, a ja biegłam w kierunku morza. W oknach mrugały niebiesko ekrany telewizorów. W innych kładła się na szybach przytulność lamp. Tu i ówdzie na balkonach żarzył się czerwony punkcik papierosa. Pojawiał się i znikał albo drżał w zmarzniętych palcach. Z głębi mieszkań dobiegały odgłosy zwyczajnego życia. Ktoś dął w puzon, ktoś inny karcił płaczące dziecko, w jakiejś kuchni szczękały naczynia. Za moimi plecami rozległo się szczekanie psa i kobiecy głos:

– Zamknij się, Lord. Rób swoje i wracamy.

Minęłam rozbawioną grupę młodzieży, kłócącą się parę, wreszcie knajpę, skąd przebijał się słodki blues i rozochocone, podpite głosy. Szpaler latarni rzucał na bulwar cienie. Od morza wiało słono i wilgotno, a słowa snujących się ostatnich spacerowiczów tonęły w szumie fal. Te były wysokie i spienione.

Naprzeciw wejścia na deptak tkwił mężczyzna. Stał oparty plecami o betonowy mur i ćmił papierosa. Kiedy przechodziłam obok, uniósł dłoń i pozdrowił mnie. Jednak wyraz jego twarzy pozostał kamienny, nie drgnął mu nawet kącik ust. Nie odwzajemniłam gestu. Po kilkunastu krokach odwróciłam głowę. Wciąż tam stał i gapił się w morze.

Z twardego deptaka zeszłam schodami na plażę. Wilgotny piasek miał się pod butami, chrzęścił, rozpraszając myśli. Tutaj było pusto i ciemno. Jedyne Bałtyk majaczył ruchomymi punktami świateł, a daleko przede mną unosiła się poświata nad Orłowem i Sopotem. Po prawej stronie ciągnęła się mroczna ściana lasu, po lewej huczało morze. Czułam się nieswojo, ale potrzebowałam silnych bodźców, żeby zagłuszyć słowa Leona.

– Wszyscy tak kończą – rzekł niefrasobliwie, jakby oznajmiał, że wszyscy oddychają.

Maski, mokasyny indiańskiego trupa, obrazy Bacona, wreszcie lakoniczność tych słów miały mnie oswoić ze śmiercią.

Nagle uświadomiłam sobie, że moje życie dotąd upływało na czekaniu. Chodzi tu o wieczne czekanie na powroty Leona. Czas płynął dla nas niby tak samo, ale on poznawał nowe, a ja stałam w miejscu i przepuszczałam życie przez palce. Dziś nie mam nic, bo wszystko moje minęło właśnie wtedy, gdy na coś czekałam.

Ogarnęła mnie złość.

Decyzja, że nie chcę tak dłużej żyć, spadła jak grom z nieba i wzniciła eksplozję emocji. Koncepcja natychmiastowych zmian kazała mi zawrócić, przeprowadzić rozmowę z Leonem, ostrą, bezkompromisową, dotyczącą mnie, a nie, jak zawsze, jego. Uznałam, że to wieczne gadanie o śmierci jest jeszcze jedną sztuczką w celu skupienia na sobie uwagi.

Ogarnęła mnie wściekłość podszyta histerią, że jeśli nie wyrzucę wzburzenia teraz, to nie zrobię tego nigdy. Odwróciłam się na pięcie i zaraz zastygłam na widok postaci, która rysowała się kilka kroków przede mną. Wbiłam sobie do głowy, że to mężczyzna z bulwaru, i ogarnął mnie strach. Z jakiegoś powodu przywłókł się tu za mną, śledzi mnie, pewnie ma złe zamiary. Co za idiotyczna konfrontacja na głuchym pustkowiu. Ogarnięta paniką myślałam gorączkowo, czy spróbować ominąć go łukiem, czy raczej ruszyć dalej w kierunku Sopotu, a stamtąd miejską koleją wrócić do Gdyni. Co jednak zrobię, jeśli pójdzie za mną?

Tymczasem mężczyzna przeszedł obok obojętnie. Wprawdzie jego twarz tonęła w mroku, ale sylwetka wskazywała na zupełnie kogoś innego. Minął mnie bez słowa i spokojnie poszedł plażą dalej.

Odczekałam, aż zniknie w ciemności, i czmychnęłam z tego mrocznego miejsca, by nie wyzywać losu. Opamiętałam się dopiero na oświetlonym deptaku.

Co się ze mną dzieje? – myślałam, karcąco. Szedł człowiek. Po prostu sobie szedł, bez żadnych zamiarów wobec mnie. Równie dobrze mogłabym uznać, że w ogóle go nie było.

I nic nie istnieje prócz tego, czego przecież nie ma – gadało mi w głowie Makbetem, gdy rytmicznie przebierając nogami, wracałam do domu.

Leona zastałam drzemiącego w salonie nad opróżnioną do połowy butelką koniaku. Rozpierał się na sofie z rękami skrzyżowanymi na piersi

i chrapał. Wyciągnięte na niskiej ławie nogi obuł złośliwie w cholerne indiańskie trupięgi.

Mogłam go zbudzić, zataszczyć do łóżka, ale bunt, jaki poczułam nad morzem, huczał mi w głowie jak te fale. Po raz pierwszy liczyłam się tylko ze sobą, gdy bez wyrzutów sumienia udałam się do sypialni sama.

Kartkę z czyimś cytatem: *Życie to pierwszy dar, jaki otrzymujemy, drugim jest miłość, a trzecim rozumienie rzeczy** przypiął pinezką do mojej poduszki. Niżej dopisał: „Kto zrozumie rzeczy, kończy życie”. Zapisek uznałam za skargę godną opróżnienia połowy butelki koniaku i przestałam się tym zajmować.

Wspomnienia przerwały dwa ostre dzwonki. Jedyne ciekawość, dlaczego Adela o tej porze nie jest w pracy, skłoniła mnie do otworzenia drzwi.

– Cześć – rzuciła krótko i przyjrzała mi się spod puszystej grzywki. – Wszystko w porządku?

– Nic się nie zmieniło – odparłam lakonicznie.

– Laura, znam doskonałego psychoterapeutę. Mogę cię z nim umówić. A nawet... – Zerknęła na zegarek. – Słuchaj, zawiozę cię do niego, mam chwilę – dodała szybko.

– Nie chcę – odparłam. – Nie potrzebuję, daję sobie radę.

– No dobrze – zgodziła się niechętnie. – W każdym razie masz nas, pamiętaj – przykazała. – Edzia i Małgorzata są w domu. Wandy chwilowo nie ma, wyszła po zakupy. Jadwiga też jest, tyle że uczy właśnie córkę tej adwokatkę z drugiego bloku...

– Wolałabym, żebyście przestały się mną zajmować – przerwałam jej, ledwo kryjąc irytację. – To krępujące.

– Nie, niepotrzebnie tak się czujesz! – oburzyła się. – Absolutnie nie powinnaś być skępowana. To naturalne, że chcemy ci pomóc. Zdaje się, że

przerosły cię własne emocje, dusisz w sobie łzy, ale one i tak popłyną, w najmniej spodziewanym momencie.

– Nic mnie nie przerosło – zaprotestowałam słabo.

– Moja droga, nic nie zrobimy wbrew twojej woli – zapewniła. – Doskonale cię rozumiem, nie da się nauczyć śmierci ani na nią przygotować. Ale możesz zrzucić część ciężaru na nasze barki. Jeśli nie chcesz – zastrzegła szybko – to przekażę dziewczynom, żeby dały ci spokój. Tylko się nie denerwuj. – Przez moment obserwowała mnie spod grzywki, zanim dodała: – Bo wiesz, my wszystkie uważamy, że nie powinnaś być teraz sama.

– Chcę być sama – odparłam dobitnie.

– Dobrze, uszanujemy to, tylko proszę, nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się – zapewniłam i z ulgą zamknęłam za nią drzwi.

Leon dużo palił. Robił to zawsze na balkonie, na który wychodziło się z sypialni. Okno i drzwi balkonowe ukryte były za ciężką kotarą. Zabraniał ją rozsuwać, twierdził, że od słońca wyblakną pamiątkowe zdjęcia na ścianach. Dlatego panował tu mrok. I bałagan. Ten w całości należał do niego.

– Chaos mi wcale nie przeszkadza, bo to samo dzieje się w mojej głowie – oświadczył ze spokojem, gdy zwróciłam mu uwagę. – Tam jest taki sam bajzel. – Popukał się w czaszkę. Zabrzmiało głucho.

Uwolniona od jego teorii postanowiłam zająć się sprzątaniem. Czynność ta wiązała się nie tylko z fizycznym, ale mentalnym, a nawet intelektualnym wysiłkiem. Potrzebowałam porządku, pozbycia się rzeczy do zagłuszenia natarczywych wspomnień.

Dotknęłam ostrożnie kotary. Miękka i mięsista jak szlafrok Leona, była tak długo zakazanym owocem, że w moim pojęciu stała się sacrum. Łamałam zasadę. Tkaninę ciągnęłam powoli. Z wahaniem, a może

z lękiem, że ktoś mnie na tym przyłapie i zrobi piekło. Kiedy pokój zalało światło dzienne, obejrzałam się. Nikt nie patrzył, bo nikogo nie było...

Dzień jawił się piękny w swojej ponurości. Wichura szarpała rosnącą nieopodal brzozą, usiłowała odebrać jej liście, które we wrześniu nie były jeszcze gotowe na podniebną podróż. Siąpił deszcz. Mimo to balkonowe drzwi otworzyłam na całą szerokość. Serce biło mi jak oszalałe. Nie robiłam tego od czasu, gdy po raz pierwszy mi zabronił.

Każdy łyk świeżego powietrza docierający do klaustrofobicznego pokoju był dla mnie uczłą. Zabrakło mi woli, by wyjąć z szafy ciepły sweter, mimo że wiało przenikliwie. Dygotałam na balkonie, gapiąc się łakomie w okna bloku stojącego naprzeciwko. Zastygłe pod woalem firanek nie wskazywały na toczące się za nimi życie. Poza jednym, gdzie nieoczekiwanie pojawiła się dziewczyna. Długie włosy sypały się jej przez ramiona, gdy spryskiwała wodą sztywne liście sansewierii. Potem zniknęła i znów wszystko zamarło. Zanim wróciłam do pokoju, śledziłam przez chwilę ślad po niej. Nie wiem, dlaczego jej widok dodał mi otuchy.

Światło dnia ujawniło wieloletnią krzywdę, jakiej doznawały ściany sypialni. Pokłute gwoździami, upstrzone zapiskami i fotografiami wyglądały żałośnie. Jakby w kontraście spoglądały z ramek twarze zadowolonego Leona. Pysznił się na tle sekwoi, słońca, tybetańskiej świątyni, ze świętą krową, z wielbłądem, z mnichem, z imamem, z rabinem, z łowcą głów, z orangutanem, z gejszą, ale nie ze mną. Odkąd przestaliśmy razem podróżować, było mnie coraz mniej w jego życiu.

Zdjęłam ze ściany najbardziej znienawidzony portret Leona, na którym uśmiechał się szelmowsko, spoglądając wprost w obiektyw. Ilekroć przestępowałam próg sypialni, patrzył z niego uporczywie i bezczelnie. Omijałam tę fotografię wzrokiem, ponieważ miałam wrażenie, że mój mąż

za chwilę opuści czarne ramy, chwyci mnie za ramiona, potrząśnie mocno i powie, co naprawdę myśli.

A tego, co skrywało jego serce, bałam się najbardziej.

Fotografię wepchnęłam pod równiutko złożone podkoszulki na jego półce i z poczuciem ulgi zabrałam się za sprzątanie.

Szczotką na długim kiju omiotłam pajęczyny, potem zabrałam się za najniższą szufladę komody. Po ostatniej podróży Leon nagle zaczął mówić, co mam zrobić z jego rzeczami. Przerwałam mu w pół zdania, nakazując zabobonnie, żeby nie wywoływał wilka z lasu. Zamilkł, zdusił w sobie rozczarowanie i potrzebę rozporządzenia osobistymi drobiazgami. Musiał już wiedzieć o swojej chorobie.

Dziobnął mnie wyrzut sumienia, gdy wygarniałam zawartość pudełek, kopert, spiętych recepturką zawiniątek na ręcznie tkany dywanik, który przywiózł z Turcji.

I wtedy usłyszałam chrobotanie. Edzia Wiertak czekała cierpliwie, zanim z wahaniem pozbierałam się z podłogi i niechętnie otworzyłam drzwi. Te od sypialni zamknęłam.

– No, i widzisz, tak trzeba – pochwaliła. – Nie można otwierać na łapucapu. Wyjrzałaś przez wizjer?

– Nie.

– Na przyszłość wyjrzyj – upomniała, tym razem z matczyną wyrozumiałością. Następnie zameldowała, wciąż stojąc w progu: – Jadwiga się pomodliła, jak chciałaś.

Nie chciałam, ale skinęłam głową ze swojej strony progu.

– Jesteś zajęta?

– Tak – odparłam, nie ruszając się z miejsca. Tarasowałam przejście.

– Dużo rozmyślałam... – nie ustępowała. Zadreptała w miejscu i zapuściła żurawia w głąb mieszkania.

– Wejdz – zezwoliłam z westchnieniem, bo i tak nie udałoby mi się jej spławić.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– To dla ciebie – rzekła, podsuwając mi pod nos jakiś niewielki przedmiot zawinięty w kawałek gazety.

– Co to jest? – Skrzywiłam się. – Mam wystarczająco dużo pamiątek.

– To nie dla ciebie – sprostowała.

– Nie? – zdziwiłam się.

– To bardzo cenne, weź dla Leona – przekonywała, niemal szturchając mnie swoim podarunkiem.

– Dla Leona? – Wzdrygnęłam się i podejrzliwie zerknęłam na Edzię.

– Widzisz, kiedy każda z nas coś tam od siebie ofiarowała, ja się zastanawiałam, co mogę dla ciebie zrobić. A w nocy przyśniła mi się ciotka. I od razu przypomniało mi się to. – Znów podsunęła mi zawiniątko. – Weź, to po moim wuju.

Gazetę rozwijałam ostrożnie. Była zużyta, miałam wrażenie, że rozlezie się w palcach. Edzia aż wstrzymała oddech w oczekiwaniu na moją reakcję.

– Co to? – ponowiłam pytanie.

Na mojej dłoni leżał medal. Środek z wizerunkiem rolnika, krowy i prosiaka otaczał wieniec z kłosów i koła zębatego, na którym wytłoczono napis „Wzorowy Hodowca” – całość w imponującym złotym kolorze, a litery na czerwonym tle.

– Odznaka – oznajmiła z namaszczaniem Edzia. – Przypniesz mu do garnituru, będzie leżał w trumnie jak jakiś ważniak.

Zawinęłam odznakę w strzęp gazety i wcisnęłam ją w dłoń Edzi.

– Nie trzeba. – Staralam się, żeby moja odmowa wypadła grzecznie i przekonująco. – Bardzo ci dziękuję, ale to zbyt wielkie poświęcenie. To

rodzinna pamiątka. Zachowaj dla Kacperka, będzie dumny z wuja.

– Tak myślisz? – Na jej twarzy malowała się mieszanina rozczarowania z zadowoleniem. Zaklinałam opatrność, żeby to drugie zwyciężyło.

– Oczywiście – zapewniłam. – Poza tym Leon nie był hodowcą świń, tylko podróżnikiem.

– No tak... – Wciąż się wahała. – No proszę cię, nie pomyślałam... Ale co ci w takim razie dam?

– Nie musisz nic dawać, wystarczy, że jesteś – odparłam wspaniałomyślnie.

– Dobrze! – ucieszyła się. – Będę tu wpadać jak najczęściej, żeby ci nie było markotno.

– Nie jest mi markotno – ratowałam swoją autonomię. – Daję sobie radę. Zajęłam się porządkami.

– Porządkami? – zaciekawiała się.

– Tak, przeglądam i segreguję rzeczy Leona. Co niepotrzebne, wyrzucam.

– Wyrzucasz? – Podekscytowała się. – No proszę cię, nie można tak od razu wyrzucać. Może mnie by się coś z tego przydało?

– Nie sądzę – broniłam się. – To przeważnie jakieś zapiski, książki...

– A, książki... – Machnęła ręką. – To idę, nie przeszkadzam. Jak będziesz coś chciała, przyjdź.

– Przyjdę. – Podbarwionym melancholią uśmiechem gasiłam entuzjizm, który ochoczo wypełzał mi na twarz. Musiał być wiarygodny, bo Edzia rozczuliła się nagle.

– Moje biedactwo – jęknęła i chwyciła mnie w ramiona. – Tak mi ciebie żal... Gotuję bigos, przyniosę ci, lubisz? – dodała na pocieszenie.

Wyzwoliłam się z uścisku i na odczepnego skinęłam głową.

– To przyniosę!

Wypadła na klatkę schodową jak rączy koń, uradowana, że jednak będzie mogła coś dla mnie zrobić.

* Słowa przypisywane Elizabeth Barret-Browning (przypis pochodzący od Autorki).

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej